Nr. 4. Lwów dnia 24. Lutego 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Plac kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Odessa była wtedy najważniejszym punktem dla naszych prowincyi. Wołyń, Podole, Ukraina, żyły Odessą, której na odwrót udzielały życia i blasku. Cała ich rolnicza przemysłowość nie miała innego odpływu, bo chociaż koszta transportu były znaczne, ceny portowe rosły częstokroć w takiej progressyi, że zarobek bywał ogromny. I cóż dziwnego? Od samej rewolucyi francuzkiej wojny wichrzyły Europą. Narody stały pod bronią, a rola odłogiem leżała. W jednych tylko naszych prowincyach nic nie przerwało rolniczego trudu, bo stały pokój panował. Rok nawet 1812, tak fatalny dla Litwy, przeleciał dla nich bez szwanku. Klimat i plodotworna gleba dopełniły reszty. Słusznie więc nazwano wtedy południowe ziemie moskiewskiego zaboru szpichlerzem Europy, bo też ją przez lat niemało karmiły. Tej to okoliczności winną była Odessa wzrost bystry swojego handlu i zamożności. Przywilej porto franco, nadany jej w r. 1817 na lat 30 wiele się także do jej dobrobytu przyczynił. Giełdowe obroty przyjęły coraz szersze rozmiary. Importacya towarów zagranicznych w jednakiej z nimi rosła progressyi. Wzmagał się ruch handlowy. Powstawały gmachy składowe, banki, magazyny, domy. Las masztów z cudzoziemskiemi bandery zalegał port i rejdę, a bulwary, place i ulice brzmiały różnoplemienną mową przybyszów z czterech kardynalnych stron świata.

Wyrazić nie zdołam wrażenia, jakie na mnie wywarła ta ruchoma mozaika z tylu typowych kontrastów złożona. Twarze, postacie, stroje, wszystko było dla mnie dziwne, nowe, zajmujące. Wszystko budziło drażliwość wyobraźni mojej, gotowej zawsze rozognić się płomieniem fantazyi dziecinnej. Czytałem już wtedy (w tłomaczeniu francuzkiem Galland'a) przecudne legendy Tysiąca i jednej nocy, czytałem podróże Cooka, Lapeyrousa, powieści Floryana o Maurach, Kampego historyę odkrycia Ameryki i zawojowania Meksyku. Byłem więc należycie przygotowanym do przyjęcia wrażeń, jakie mię w Odessie spotkały. Każdy negr, turek, grek, lub arab, przypominali mi dalekie strony świata, których barwy miejscowe odbiły się jaskrawo w pamięci mojej, z całą oryginalnością obyczajów i tradycyi, z całym urokiem romantycznego wymysłu, lub poetycznej hyperboli. A morze, o którem tyle czytałem, słyszałem, marzyłem! to morze tyle dum nawodzące! w takie porywające zachwyty naturę zdolną zachwytu! morze bez granic dla zmysłów, bez granic i dla wyobraźni, którą każda jego fala unosi w dal niezmierzoną przestrzeni, poza krańce widnokręgu, po za doczesności krańce! Z powodu odległości mieszkania naszego (na Ryszeliewskiej ulicy w domu doktora Wicmana) nie mogłem tak często, jakbym tego żądał zadosyć uczynić pociągowi jaki na mnie morze wywierało. Z okien nawet naszych nie było go widać. Przysłuchiwałem się więc chciwie temu szumowi, co się szeroko, szeroko rozlegał i pociągał mnie ku sobie i wnikał we mnie całym urokiem swej tajemniczej poetyczności.

Tu mi przychodzi wyłonić z siebie żal wiecznie przytomny w sercu, że powołaniu mojemu, tak wybitnie przejawiającemu się, nie chciano udzielić należytego baczenia, że dla źle zrozumianej troskliwości o moje życie, (które i na innych torach niejednego doznało rozbicia) strącono mnie z kierunku najgorętszych pragnień moich, a może nawet i zdolności. Chciałem zostać żeglarzem — chciałem koniecznie! żaden inny zawód nie nęcił mnie tak silnie, bo żaden nie zadowalniał w takim stopniu głównych kierunków moralnej mojej i fizycznej natury. Byłem silny, zręczny, odważny, ochoczy do naukowego trudu. Umysłem lubiłem sięgać nad poziom wiedzy gminnej — w głębsze przenikać sfery pojęcia i użyteczności. Astronomię nautyczną przyswoiłbym sobie łatwo — pokochałbym jej wzniosłą poetyczność, jak pokochałem poetyczność morza, nieba, przestrzeni. Gdybym tedy nie był wstrzymany w dążeniu, nie wątpię, że przy pomocy Bożej zebrałbym pod koniec życia zasób niemały materyałów

do ciekawszych nieporównanie pamiętników od tych, z jakimi obecnie występuję. Stało się inaczej! Cóż robić? Sic fata voluere!

W Odessie zastaliśmy ruch wielki. Całe niemal obywatelstwo prowincyi naszych z familiami zebrało się tam pod firmą sanitarną morskich kąpieli dla zabawy, sprawunków, villegiatur'y w nadbrzeżnych futorach, i dla pszenicznej spekulacyi. Długie rzędy maż czumackich toczyły się flegmatycznie z ładunkiem ziarna do portowej przystani lub do składowych magazynów. Faktorzy, grecy lub żydzi, biegali rojami zakłopotani. Różnoplemienni handlarze zbożowi snuli się tu i owdzie wietrząc pszenicę i targ dogodny. Ceny rosły lub spadały co kilka godzin, w miarę wieści otrzymywanych o mniejszej lub większej liczbie przybywających okrętów. A w każdym domu widziałeś po stolikach i oknach talerze z próbkami darów Cerery. Do każdego domu, gdzie się polski obywatel pomieścił, szturmowała zgraja zadyszanych kupców lub komisantów handlowych i targ się zawierał i brzęczało złoto lub srebro, bo tam nie było i mowy o papierkach.

Gdy sobie przypomnę te czasy, pojąć nie mogę prawdziwie, gdzie się podziała ta ogromna masa cyrkulującego metalu? Do jakiej otchłani zapadły nasze poczciwe hollenderskie czonte, istnie szczerozłote, które, bywało, na szalkach ważono dla odróżnienia od obernię tych kulfonów? Jaki wicher porozwiewał w przestrzeni nasze niemniej poczciwe elizawetskie karbowańce, takie duże, ważne i szlachetnej próby? Po wieku śrebra i złota nastąpił, niestety! wiek brudnej miedzi i znikomych papierków! I dzieła ludzkie także dziś znikome, bez waloru! I serce nie czystsze od miedzi! I ludzie nie szczerozłoci...

Skład ówczesnego towarzystwa, odwiedzającego nas kolejno, zalecał się doborem osobistości tak pod względem ukształcenia jak i socyalnego stanowiska. Pamiętam jeszcze poważną postać starego Toma, konsula jeneralnego austryackiego. Jakiż to był miły człowiek! Nawet tej zwykłej niemieckiej sztywności nie było w nim ani śladu. Snać ocierał się w życiu o dobre stosunki. Wzory dobrego tonu potrafił sobie przyswoić. Mówił mało, ale gruntownie i poprawnie francuzkim tłómaczył się językiem. De Ribas, konsul neapolitański, miał więcej od niego samorzutności, więcej umysłowego ognia, a następnie mniej dyplomatyzmu. Był on podobno synowcem admirała rossyjskiego De Ribas'a, co pierwszy podał myśl zdobycia nadmorskiej tureckiej forteczki Chadżibej, z której niedługo potem powstała dzisiejsza piękna, ludna, bogata Odessa. Ten De Ribas (nie admirał, ale mój znajomy) posiadał dokładną znajomość pontyjskiego wybrzeża i ziem do niego przylegających. Znał całą ich starożytność dziejową i nazwiska wszystkich greckich kolonii, co się tam różnoczasowie osiedlały, umiał na pamięć. On to wtajemniczył mię najpierw w ciekawe objawienia ich odległej przeszłości i nakreślił w umyśle moim kontury zdarzeń dziejowych, których koloryt i perspektywę pracą późniejszą uzupełniłem. Najulubieńszym przedmiotem opowiadania jego była Olbia w 7mym wieku przed naszą erą, przez Milezyjczyków u zbiegu Dniepru i Bohu założona. Powstanie tej emporyi miało według niego odpowiadać epoce istnienia monarchii medyjskiej a okresy blasku jej i potęgi dostarczały mu obfitą temę do filozoficznej elegii nad znikomością rzeczy ludzkich.

Wielce oryginalną i typową postacią w swoim rodzaju był także hiszpan, Silvo, komendant odesskiego portu, staruszek suchy, krzepki, ruchawy, jak przystało na żeglarza, od lat wielu zahartowanego w burzach stref rozmaitych niskiej i wysokiej temperatury. Don Christoval Colon, czyli mówiąc po polsku, Krzysztof Kolumb, nie dawał pokoju jego językowi. Co słowo, to aluzye do tego wielkiego człowieka, z dodatkiem szumnego panegiryku, który brzmiał zabawnie w ustach poczciwego Silvy komiczną mieszaniną różnoplemiennych wyrazów. Jakiemi koleje losu został on rzucony z nad gorących brzegów Gwadalkwiwiru, zkąd był rodem na brzegi tumannego Pontu, jakich wypadków był igraszką, nim się oblókł w mundur komendanta rosyjskiego portu, nie jest wiadomo. Tyle tylko rzec mogę, że w naturze jego sprężystej i uczuciowej przejawił się wyraziście żywy element poezyi, upoważniający wnioskować stanowczo o romantycznym charakterze jego przeszłości, niepozbawionej zapewne ciekawych i poruszających przygód.

Nieraz bywało błądziliśmy z nim razem nad morzem o wieczornej porze, kiedy się firmament świątecznie oświecony w źwierciedle spokojnej toni odbijał. Silvo pzzestawał nagle mówić i patrząc con amore na jasną planetę Wenery, wołał zachwycony:

„*Que estrella bella! — Que clara e limpia es! — No puede ser estrella mas brillante!...*“ *)

Potem uśmiechał się do fali, co u nóg naszych szemrała, pieścił się z nią, rozmawiał, jak z dawną znajomą, przyjaciółką, kochanką, powiernicą myśli i serca. „O! ty moja swawolnico — mówił pieszczotliwie — zkąd płyniesz? co widziałaś? po co tu przybywasz? A znasz-li ty fale Kap-Hornu, co takie gniewne i zdradliwe? Gorącą miałem z niemi rozprawę! A fale przylądku Dobrej Nadziei, takie łagodne i uprzejme, czy nie wzywały cię czasem do okrężngo tańca, przy blasku księżyca pod szum powiewów południa? Płyń sobie nazad moja swawolnico! Płyń lazurnymi szlaki, powiewając brylantową obsłoną piany! Płyń ku falom Hellady! ku Gibraltaru falom! i nieś im pokłon odemnie. Znały mię niegdyś — może przypomną!...“

Obok znakomitej postaci Silvy nakreślę teraz dla kontrastu osobistość innego zupełnie rodzaju, wyższą daleko hierarchicznie, chociaż niezrównanie niższą moralnie. Jenerał hrabia Witt, syn słynnej krasą i zalotnością greczynki Zofii, drugiej żony Szczęsnego Potockiego, mieszkał podówczas w Odessie przy dywizyi jazdy, którą dowodził. Był to człowiek zręczny, układny, chytry, salonowie ukształcony, w sztuce zalotności biegły i ztąd chociaż drobny, smukły i z grecka długonosy, a zatem wcale niepowabny, najmilej w niewieściem gronie witany. Jakby po opiciu się belladoną szalały za nim najpiękniejsze kobiety. Co do militarnych zdolnoćci Witta, nie wiele powiedzieć mogę. Wiem tylko, że o waleczności jego chodziły nie nader pochlebne wieści. Cytowano mi nawet zabawne zdarzenie, które przytoczę. W jednej z batalii napoleońskich Witt, który, jak się pokazuje nie widział wielkiego sensu w nadstawianiu łba kulom i miał odrębne we względzie żołnierskich obowiązków filozoficzne poglądy, czmychnął sobie szczęśliwie w krzaki i tam się zaczaił. Jeden z jego oficerów, takiż jak i on filozof, trafił, uciekłszy z pola bitwy, na to samo miejsce, gdzie jego dostojny dowódzca kosztowne swe życie ocalał.

— Co wacpan tu robisz? — fuknął nieco skonfundowany jenerał.

— Przyszedłem na ordynans do Waszej Ekscellencyi — odpowiedział oficer.

W r. 1831 hrabia Witt dowodził korpusem jazdy. W każdym ruchu jego strategicznym odbijał się wyraziście fakt bohaterski wyżej zacytowany. Nigdzie energii w obec

*) Jaka piękna gwiazda! Jaka jasna i czysta! Nie może być gwiazda świetniejszą!

sił polskich, nigdzie dzielności. Kiedy należało iść naprzód, Witt się cofał. Kiedy Polacy nań napierali, Witt zamiast frontem nacisk odpierać, umykał forsownym marszem w kierunku obliczonym i swe nieoszacowane zdrowie daleko od niebezpieczeństwa unosił. Zdawałoby się, że podobne figielki nie powinny były ujść jemu na sucho i nie uszłyby, mam pewność, ale zręczne dworactwo Witta i rzadka umiejętność, z jaką umiał dać pozór przychylny najjawniejszym błędom swoim, nietylko ocaliły go od gniewu Cesarza Mikołaja, lecz mu nawet zjednały względ jego łaskawy i pochwałę.

Po zajęciu Warszawy przez Paszkiewicza hr. Witt został mianowany jenerał-gubernatorem onej. Dzięki wpływowi pewnej znakomitej Polki, której wdziękom hołdował, hr. Witt nie splamił posady swojej żadnym umyślnym czynem absolutyzmu i prześladowania. Nie jemu wszakże to przypisać należy, a dobroczynnej przewadze niewieściego serca nad jego sercem, czyli podobniej nad jego zmysłami. Zostawiony sobie Witt nieszczędziłby ucisku, byle rządowej polonofobii dogodzić. Kiedy w późniejszym czasie stanął na czele obszernej administracyi wojskowych kolonii w krajach południowego zaboru, ten sam Witt puścił wodze przewrotnej naturze swojej i wysysał z kolonizowanego ludu grosz ostatni, byle swym zbytkownym zachciankom i wyuzdanym namiętnościom zadosyć uczynić.

W r. 1837 podał on myśl cesarzowi Mikołajowi zaimponowania Europie skoncentrowaniem 300 szwadronów jednej li tylko rezerwowej kawaleryi pod jego komendą zostającej. Z tej wysokiej cyfry rezerwów miała Europa wnioskować o potędze bojowej jazdy stojącej w szeregach armii. Pomysł Wita został sankcyonowany i to tem skwapliwiej, że według jego zapewnienia koszta mobilizacyi i utrzymania takiej masy wojska, a także i mających się zaprosić zagranicznych gości, miały być pokryte jedną li tylko sumą płynącą ze zarządu kolonii bez współudziału kasy państwa. A że stepowa miejscowość miasta Wozneseńska najwięcej stosowną była dla ewolucyi wielkich mas jazdy a do tego i centr administracyi kolonii tam się znajdował, stanęło tedy, że cała ta zbrojna wystawa, na postrach Europy umyślona, odbędzie się w Wozneseńsku.

Po Czernyszewie, ówczesnym ministrze wojny, Witt był niezaprzeczenie najzręczniejszym dworakiem. Może go nawet w wyborze sprężyn wpływu i znaczenia prześcignął. Poleciał tedy piorunem z Petersburga do Wozneseńska i wnet przystąpił do dzieła. Naprzód oderwał od roli kilkadziesiąt tysięcy kolonistów dla transportu drzewa, lasu budulcowego, produktów alimentarnych, siana, owsa i t. d. w proporcyi odpowiedniej potrzebie. Jęknął lud biedny, widząc przed sobą głód i nędzę, lecz poszedł, gdzie kazano, bo nie pójść nie było sposobu. Wnet zaczęły się wznosić pospiesznie do koła Wozneseńska dworki eleganckie, dwory, pałace, wille, ogrody improwizowane dla carskiej familii ze świtą, dla książąt zagranicznych, posłów, ministrów i wyższych jenerałów armii. Przy każdem z podobnych mieszkań, bogato i z wytwornym gustem wewnątrz ozdobionych, stanęły odpowiednie stajnie, wozownie, służbowe oficyny, składy, ba nawet fermy, w których młode wieśniaczki, najponętniejsze ma się rozumieć, strojnie po szwajcarsku ubrane i gwałtem wśród scen błagania i rozpaczy z chat rodzicielskich wyrwane, strzegły krów na śmietankę i mleko dla dostojnych gości. Dziewcząt tych liczba sięgała tysiąca. Tysiąc zatem niemal familii opłakiwało stratę i pohańbienie dzieci swoich, albowiem nigdy już nie wróciły pod rodzinną strzechę. Tknięte zarazą obozowej rozpusty zmarniały gdzieś i znikły na zawsze!

Byłem i ja na tym pamiętnym przeglądzie. Widok był rzeczywiście prześliczny. Gdyby wąż olbrzymi, łuską stalową połyskujący, rozwinął się na stepie front trzechset szwadronów jazdy w obec zdziwionej zgrai cudzoziemców. Lud wyborowy, mundury świeże i ozdobne, konie rasowe i szykowne, ruchy wprawne, z precyzyą wykonane, słowem nie mogło być piękniejsze wojsko do parady. O praktyczności jego bojowej nie mówię. Pomiędzy gośćmi najpierwsze trzymali miejsce arcyksiąże Johann i książe August pruski w mundurze moskiewskiej artyleryi. Pierwszy nie zdawał się bardzo zadowolnionym tym wspaniałym okazem potęgi sąsiada. Drugi, starzec epikurejskiej szkoły, gorliwy hołdownik Cytery, mało zważał na wirujące szybkimi zwroty i pędy szwadrony, bo go więcej nęciły wdzięki dam i dziewic dworskich, co gdyby świetny i barwisty wieniec okrążały cesarzowę i jej nadobne córki Olgę i Maryę.

Różnej natury była piękność tych dwóch carewien. Majestat złagodzony uprzejmością cechował uroczą postać Olgi, owianej melancholią i marzeniem. W Maryi, mniej poetycznej, a tem samem szczęśliwszej duchowie, biło serce przychylne światu i chciwe jego rozkoszy. Na tle jasnem jej czoła nie dostrzegłbyś przelotnej nawet mgły zamyślenia, bo o czemże miała myśleć, kiedy ten, co jej uczuciem owładnął był przy niej i cały widnokrąg jej życia wzajemną miłością opromieniał? Pierwszy raz widziałem wtedy księcia Maksymiliana Leuchtenbergskiego. Żywy i szykowny zdradzał on układem i twarzą francuzkie swoje pochodzenie, a jako syn księcia Eugeniusza i wnuk cesarzowej Jozefiny nie mógł być dla mnie obojętnym przedmiotem badania. Oprócz powyższych gości byli tam jeszcze z Berlina jenerałowie Wrangel i hrabia Brandenburg. Włochy, Bawarya, Wirtemberg i drobne księstwa germańskie przysłały także swoich reprezentantów. Widziałem tam nawet jakiegoś brzuchatgo baszę, bogdaj, czy nie nadzwyczajnego posła Sułtana. Siedział jak mruk na koniu, ani razu gęby nie otworzył, tylko pożymał plecami patrząc na wojska manewrujące przed nim. Z dygnitarzy moskiewskich pierwszego rzędu byli tam feldmarszałkowie książe Paszkiewicz i książe Sayn Wittgenstein Berleburg, od lat dziecinnych prawie zaszczycający mię swoją przychylnością, a także hrabia Michał Woronzoff, noworossyjski wielkorządca, sławny Jermołow i kanclerz państwa hr. Nesselrode. Ten ostatni olśnił mię blaskiem i żywością swego dyalogu, w którym tło wysokiego tonu służyło za kanwę kosztownego haftu, oryginalnych idei i niepospolitych poglądów. On raczył zstąpić ze swego piedestału ku mnie i upoważnił uprzejmem wezwaniem do odwiedzania go w stolicy, z czego ma się rozumieć nie zaniechałem korzystać.

Kilka dni z rzędu trwała ta wspaniała feta wojskowa, Woznesensk kipiał ruchem, wrzawą i życiem. Dworskie bankiety i bale były świetne, liczne, rozgłośne. Skoro wieczór opadał zapalało się miasto rzęsistą illuminacyą. Pyrotechniczne ognie buchały do góry tworząc przelotne godła, cyfry, słońca, arabeski gwiezdzistym gradem opadające z wysoka. Obóz rozłożony na stepie płonął długimi rzędy ognisk, brzmiał narodową pieśnią i głośne ura! na cześć cara ze salutem ręcznej broni i armat jednoczył.

Słusznie tedy nazwałem ów przegląd pamiętnym i prześlicznym. Podobał mi się tem więcej, że nie wiedziałem wtedy jeszcze, jakiego ucisku był powodem, jakich boleści przyczyną. Nie wiedziałem, powtarzam, że lud biedny ten przepych swą nędzą opłacił, te uczty swym głodem okupił, łzy swemi złote czary wesela zaprawił! Sam cesarz nie wiedział o tem, w przekonaniu,

że sumy ekonomiczne kolonii pokryły wydatki przeglądu i że następnie nikt krzywdy żadnej nie doznał.

Pierwsze słowo prawdy usłyszał cesarz z ust szlachetnych hr. Michała Woronzowa. Witt użył wszystkich sprężyn ku swemu usprawiedliwieniu, lecz nadaremnie! Cesarz nakazał srogi rozbiór czynności jego i widzieć go na oczy nie chciał. Dla człowieka nawykłego do wziętości i faworu był to cios straszliwy. Powlókł się on jeszcze za dworem do Odessy, lecz nie był to już ten Witt, co zwykle. Kiedym go wkrótce potem odwiedził w Odessie, był chory i prawie obłąkany. Pamięć zaczęła go opuszczać, przytomność zdradzać. W końcu wpadł w dzieciństwo. Czołgał się po ziemi, jak niemowlę i bawił piaskiem.

Przedwieczna sprawiedliwość srodze dotknęła Witta, bo też wielkie, wielkie były jego grzechy!

(C. d. n.)

Nad zwłokami Brutusa.

Na polu mężnych, na piasku zbroczonym,
Gdzie z trupów świeżych ciepła krew wypływa,
Na własnym mieczu w głąb piersi wtłoczonym
Rzymianin Brutus spoczywa.

Nad nim w obłokach smętna Klio marzy,
Trzyma pergamin i rylcem prawości
Z wzniosłego czoła i spokojnej twarzy
Kreśli — sen rzymskiej wolności.

Przy nim na ziemi, dwóch wodzów się spiera
Jak sęp z sokołem nad wielką zdobyczą —
August nań z dumą zuchwałą spoziera
Antonin — z serca goryczą.

I rzecze pierwszy: Tę głowę rozpłatam!
Na pal ją wbiję — niech sterczy, jak kara!
Proch ulic Rzymu tułowem pozmiatam,
Jak prawy mściciel Cezara.

Niech Rzym po stracie przestanie się żalić!
Niech syci zemstą krwawą serce dumne,
Depcąc nędznika, co ważył się zwalić
Najwyższą jego kolumnę!

Niech z Wdowy jego urąga boleści —
Niechaj wyśmiewa ciężki żal krewieństwa,
Niechaj im miota w szyderczej powieści
Ciężkie — jak zbrodnia — przekleństwa!

A jeźli Furyą nie jest Matka siwa,
Widząc tę głowę tak wzniosłą z pozoru
Niechaj się wzdryga i wstrętem okrywa,
Jak przed nasieniem potworu!

A drugi na to: Na stos cyprysowy
Złożę te zwłoki — dla ludu sromoty!
Popiół z nich przeszlę do Matki i Wdowy
Jak czciciel pokorny — cnoty!

Przy ogniach stosu, w ponurej jasności,
Niech Rzym zajęczy, niech szaty rozrywa
Jako niewolnik — gdy z miecza wolności
Kują mu kajdan ogniwa!

Córka Katona a Brutusa Wdowa
Niechaj urąga Rzymowi tyrana
Dumna, że w urnie zasklepione chowa
Ostatnie serce Rzymiana.

A błogosławiąc stara Matka siwa
Chwilę porodu — płód krwawych mozołów —
Niechaj się szczyci i z dumą odzywa,
Że Matką wolnych popiołów.

Stefan z Opatówka.

Goethe i Descartes.

Studyum

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pozostała jeszcze matematyka, która najzapamiętalszy skeptycyzmowi zawsze stawiła opór, i której pewniki najtrudniej dają się zachwiać. Ale jeżeli Descartes nie zdołał obalić prawd matematycznych, to przecież pozwolił sobie wątpić, czy matematyka w tej formie, w jakiej ją podawały ówczesne szkoły, nie jest raczej badaniem oderwanych pojęć ze zupełnem pominięciem zastosowania tychże do praktycznych potrzeb życia.*) Szczególnie błąd ten zarzucił algebrze.

Ogólny zatem skeptycyzm, zupełna utrata wiary w umiejętność, jaką Descartes poznał w szkołach—oto myśl pierwszego, a po części i drugiego ustępu w jego „Discours de la Méthode.“ Taki sam wynik, do jakiego po dwóch niespełna wiekach doszedł Goethe we Fauście — a jak Goethe w pomienionym poemacie złożył najbogatszy skarb swojej myśli, tak i na pozór mało znacząca rozprawa Descartes'a jest wszystkich prac jego naukowych podstawą. Dlaczego jednak ta nauka, którę Descartes poznał, i którą się oburzył, przez tyle wieków tyle znakomitych zadowalniała umysłów? Dlaczego dopiero z końcem XVI i z początkiem XVII wieku pojawił się ktoś, który tak ostro z nią się obszedł, który ją tak bezwzględnej, niszczącej poddał krytyce? Descartes sam na to pytanie odpowiada. Uczeni dotychczas uznając jedynie potęgę spekulacyi filozoficznej, żyjąc jedynie w krainie swoich pomysłów i wynalazków, nie patrzyli na świat okiem młodem, nie kochali przyrody i rzeczywistości sercem gorącem i nie dostrzegli jak im się bezpowrotnie wyśliznęła. Przed Descartes'em wielbiono tylko erudycyę, a nikt nie troszczył się o to, na co on pierwszy zwrócił uwagę: na zdrowy rozsądek człowieka, na nieskażony, bystry jego zmysł dostrzegawczy. Wiek XVI gruchocąc cały gmach pojęć i życia średniowiecznego, nienawidził wszystkiego,

*) Goethe nie dotarł we Fauście aż do zachwiania pewników matematyki, która za jego czasów niezaprzeczone poczyniła już postępy; ale i u niego dopatrzeć można pewnego zamętu w tej dziedzinie pojęć, jak to wynika ze sceny w „kuchni czarownic.“

co było echem i spuścizną tych czasów. Zhańbienie naturalnego rozsądku przez naukę średniowieczną było przyczyną, iż wiek XVI na przekor średnim podnosząc doniosłość naturalnego rozsądku zniewazył szkolną spekulacyę.

Descartes będąc wieku swego wyrazem, ująwszy i streściwszy wszystkie jego zażalenia i gorycze w jednym energicznym proteście, jest przedstawicielem tego usiłowania, które dążyło do powrócenia praw zdrowemu rozsądkowi. Umysł jego obciążony erudycyą złych systemów, nie widząc harmonii pomiędzy nimi a prawdą świata, odwrócił się od nich zupełnie, a skierował całą swą uwagę na ową siłę umysłu, która tkwiąc wewnątrz każdego, nie była dotychczas uwzględnioną. Descartes rzuca się w burzliwy odmęt życia, a wyposażony zdrowym rozsądkiem przyglądać się poczyna różnowzorej grze jego zjawisk, czynów i namiętności. Wyszedłszy z ciasnych izb szkolnych, otrząsłszy z siebie pył ksiąg przerażających ogromem rozmiarów a ubóstwem prawdy kieruje oczy ku ożywionej, na atomy rozpryśniętej, a wszędzie ślad twórczej myśli noszącej przyrodzie. Będąc jednak wiernem swojego czasu echem, zwraca się jak Faust XVI wieku pierwej jeszcze ku innym źródłom poznania.

Badawczem okiem przenika moralne choroby współczesnej mu ludzkości. Alchemia, astrologia, sztuki czarnoksięzkie *) wprowadziły chwilowo w obłęd wiek XVI, przyrzekając butnie zaradzić wszystkim niedostatkom umiejętności. Ale prędko przekonuje się Descartes, że i one są raczej obłąkaniem ludzkiego rozsądku, niżeli źródłem wyższego poznania. Wkrótce zatem i od nich odwraca się umysł Descartes'a, ażeby spocząć raz stanowczo na łonie zdrowego rozsądku. Już w kilku pomniejszych **) pismach, poprzedzających „Discours de la Méthode“ dążenie to uczuwać się daje. W tem jednak ostatniem dziele, w którem duch jego widząc wątłość nauki ówczesnej, a szukając jej tylko w błędach metody, gdyż zanadto cenił potęgę umysłu ludzkiego, aby go o zupełną posądzić miał nieudolność w badaniu prawdy, bierze rozbrat ze wszystkiem, co nawet formą przypominaćby mogło średniowieczną, opłakaną umiejętność. Nie pisze on, jak erudyci średnich wieków jedynie dla uczonych, język swój czyni potoczystym, wykład zrozumiałym a naród poczyna go doprawdy pojmować, bo pisze w jego mowie rodzinnej, przezco staje się twórcą prozy francuskiej.

Pozbywszy się wszelkich scholastycznych przesądów, ufając jedynie zdrowemu rozsądkowi, umiał Descartes na niewielu kartkach swej rozprawy odnaleźć główne podstawy zupełnie nowej metody, która zawiodła go do gruntownego obalenia własnych powątpiewań, pogodziła go ze światem i zbudowała nową naukę, opartą na harmonii wiedzy z rzeczywistością. Wieki XVII i XVIII zbierały owoce jego pracy; nietylko filozofia, lecz niemal wszystkie umiejętności ówczesne uważają wystąpienie Descartes'a za początek swego nowego rozwoju. Ale jak nauka i rzeczywistość stały się dwoma podwalinami jego metody, tak i na całym obszarze filozofii zapanować odtąd musiał dualizm. Naturalnym zaś torem wszystkich rzeczy ludzkich bywa spaczenie zdrowej początkowo myśli i jednostronny jej rozwój. Naukę i rzeczywistość, ducha i przyrodę pogodzić pragnął Descartes — myśl tę jednak pojęli błędnie jego następcy. Spinoza stopił dualizm natury i ducha, wypowiedziany przez Descartes'a, w monizmie, twierdząc, że obydwa te światy są tylko różnymi objawami jednej pod dwoma postaciami działającej siły i dając tem popęd ku późniejszemu zmateryalizowaniu filozofii przez Anglików. A gdy równocześnie Niemcy odbieżeli znowu w kierunku skrajno-idealnym, na korzyść ducha lekceważąc prawa natury, wytworzyła się podwójna jednostronność, wiodąca naukę do nowego rozbratu z prawdą, do zniweczenia świeżo pomiędzy nimi skojarzonego związku. Z dziedziny filozofii przelewa się ta jednostronność na wszystkie inne sfery ludzkiej myśli i działania, tak że reformy XVI wieku w swym rezultacie okazują się niepłodnemi, bezskutecznemi, a chwilowa harmonia nauki i życia znowu się rozprzęga. To łatwo pojąć, bo harmonia oprzeć się mogła tylko na uznaniu d w ó c h światów: n a t u r y i d u c h a. Wiek XVIII przedstawia nam niemal te same braki, niemal te same błędy, jakie charakteryzowały wiek poprzedzający Descartes'a. Nawet to wielkie Descartes'a odkrycie: jego metoda a n a l i t y c z n a psychologii nietylko przez jego następców nie została pojętą i do nauki wprowadzoną, ale sam nawet twórca, Descartes, często od niej odstępuje, wracając bezwiednie do scholastycznego s y l l o g i z m u. *)

To wszystko musiało wyrodzić skeptycyzm, który w podobny, jak u Descartes'a, sposób, uwydatnił Goethe w swoim Fauście.

Tu jest ów tajemniczy związek duchowy pomiędzy pierwszym wieszczem nowożytnej cywilizacyi i najznakomitszym jej może filozofem. I dla tego niech nas nie dziwi, że niemal każde słowo spotykane na pierwszych stronnicach „Discours de la Méthode,“ wyrażone w spokojnej formie filozoficznego rozmyślania, znachodzimy powtórzonem w pierwszych scenach Fausta, a różnice, jakie się nasuwają, dopatrzeć się dadzą jedynie w tem, co jest cechą poezyi, jedynie w rozburzonych uczuciach poety, towarzyszących tragicznym wyznaniom Fausta.

(Dok. n.)

---

*) Podobne chorobliwe objawy towarzyszą zwykle silniejszym wstrząśnieniom społecznym. Wspomnę tylko o „tańczących stolikach,“ którymi się zajęła cała Europa po 1848 r.

**) Podał je *Baillet* a wydał p. *Foucher de Careil* w I tomie: *„Oevres inédites de Descartes,“* in 8vo, 1859. Paris, Durand. Między temi znajduje się jedna rozprawka p. t.: *„Quelques considérations sur les sciences.“*

*) *M. Victor Cousin*, I. série, t. IV. leçon XII — i trzy artykuły w *„Journal des Savants“* z sierp. wrześn. i paźdz. 1850 napisane z powodu rozbioru Leibnitii *„Animadversiones ad Cartesii principia philosophiae.“*

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Akt II.

(Ganek w zamku Nieświeżskim; do koła widać zabudowania obszerne. Wschody od ganku wychodzą na scenę. Na podwyższeniu siedzi Książe Karol w białym kitlu. Przed nim Dyplowicz w pół zgięty z czapką w ręku.

Dwór księcia przechadza się w cichej rozmowie na przodzie sceny, tak że jedni znikają za kulisami, drudzy wchodzą.)

Scena I.

KSIĄŻE, DYPLOWICZ.

Dwór Księcia.

DYPLOWICZ. (*z niezmierną czołobitnością; mówi kłaniając się do kolan i podnosząc często z admiracyą ręce do góry.*) Mości Książe!! Byłem świadkiem całego tego procederu Chorążego, to człowiek pychy szatańskiej... to niegodziwiec i zuchwalec... Żeby śmieć Księciu, Dobroczyńcy naszemu, co jesteś słońcem i luminarzem naszym... stawić się tak hardo...

KSIĄŻE. Nic to, nic, przyjdzie, panie kochanku, koza do woza...

DYPLOWICZ. Przyznaję się, że jabym na miejscu Księcia, nauczył pyszałka...

KSIĄŻE, Czy wy, panie kochanku, w sąsiedztwie tam drzecie się z sobą?

DYPLOWICZ. A! on mnie drze, ja jego nie mogę. (*wzdycha*) Po co jemu ta Wulka, on dawno ją sprzedać powinien, ja mam drugą połowę... Proszę się go,—i nie, i nie. A potem żyd to weźmie, albo lada kto...

KSIĄŻE. A to, panie kochanku, wam się chce wziąć?

DYPLOWICZ. (*wzdycha*) Cóż, kiedy nie mogę... Ja myślałem, że W. Ks. Mość mi dopomożesz... Co to Księciu znaczy, zajechać, szlachcica wypędzić, a potem mnie oddać.

KSIĄŻE. Toćbym, panie kochanku, zajechawszy musiał basarunek zapłacić! (*śmieje się*)

DYPLOWICZ. A co księciu takiemu magnatowi szkodzi zapłacić?... I ot, jabym miał Wulkę, Chorąży pieniądze, a książe pan satysfakcyę...

KSIĄŻE. Asindziej, panie kochanku, doskonały jesteś do rady... cha! cha!...

DYPLOWICZ. (*ręce zacierając*) A żeby jeszcze staremu dać na kobiercu pięćdziesiąt...

KSIĄŻE. Słuchaj, panie kochanku... niebezpieczna gra! mówisz o bizunach... tu nie ma komu dać, a jak mnie rozłakomisz... to ci każę wsypać panie kochanku.

DYPLOWICZ. (*cicho*) Po czemu jeden? Mości Książe.

KSIĄŻE. (*śmiejąc się*) Ten mnie bawi, panie kochanku! ten mnie bawi! Co za szkoda, że pieniędzy nie mam!!

DYPLOWICZ. (*kłaniając się*) Ja pokredytuję...

KSIĄŻE. Jeszczem, panie kochanku, takiego kpa w życiu nie widział! cha! cha!

(*po chwili*) Słuchajno Dyplowicz, czy ty kiedy o moich podróżach i peregrynacyach słyszałeś? Tak mi się podobasz, że ci gotów jestem cokolwiek opowiedzieć.

DYPLOWICZ. Nazbyt byłbym szczęśliwym i uhonorowanym Mości Książe.

KSIĄŻE. (*głośno*) No to posłuchaj tylko uważnie, bo awantura osobliwa i uszu godna. (*Dworzanie otaczają księcia i od pierwszych słów zaczynają słuchać z uwagą— Dyplowicz ciągle daje znaki podziwu*).

Było to, trochę dawniej, kiedy się Radziwiłłowi ledwie wąs wysypywał, panie kochanku... (*wzdycha*) lepsze czasy!!... Jeszcze i apostołowie w skarbcu stali i dwanaście cegieł złotych było całych... Jużem był naówczas wyszedł z kondycyi, przestawszy służyć za kuchtę u pani Gałeckiej, a przeniosłem się do Nieświeża; raz tedy raniuteńko — a była wiosna — wyszedłem do ogrodu... szukać ziela na maść dla chorej kobyły, bom się na Ukrainie konowalstwa wszelkiego nauczył... Chodzę, chodzę, aż spojrzę, słońce na mnie mruga osobliwie... jakby coś, panie kochanku, wiedziało... Wtem załopotało coś skrzydłami, leci ptak i śpiewa mi nad głową: „Dzień dobry księciu...“ Patrzę — upuścił mi bilecik. Ptak był osobliwszy, bo chodził w okularach, miał buty czerwone i na łbie federpusz ogromny... Zbierałem się na odpowiedź... kichnął i poleciał...

WOŁODKOWICZ. Żeś też W. ks. Mość nie miał flinty, aby go do gabinetu zastrzelić...

KSIĄŻE. Ty bo, Wołodkowicz, zawsze mi przerywasz... panie kochanku, a mnie to myśli psuje. Podnoszę liścik... pachnący jak róża. Patrzę, zaadresowany—Panu Miecznikowi do rąk własnych... na pieczęci królewska korona... Lak złocisty... Otwieram i znajduję, panie kochanku, romansowe oświadczenie od księżniczki Brambilli, córki króla Aldebarana, o której wiele mówiono, że miała siedm twarzy jedna od drugiej piękniejszych i co dzień w tygodniu brała inną.

DYPLOWICZ. A! niech ją kaci porwą!

KSIĄŻE. Proszę, panie kochanku, nie przerywać!

WOŁODKOWICZ. Jakże się ona w Księciu zakochała, kiedy Księcia o tysiące mil widzieć nie mogła?

KSIĄŻE. Widzisz, panie kochanku, Wołodkowicz, jak mało wiesz, co na świecie się dzieje; oni w tym kraju mają takie perspektywy, robione z oczu ostrowidzowych, że przez nie widzą pchły na księżycu. Widziała mnie tedy przez perspektywę, gdym po ogrodzie chodził... i odtąd patrzała a patrzała — a że ręce ją bolały od trzymania perspektywy, służące ją ciągle podtrzymywały. List był z formalnem oświadczeniem.

DYPLOWICZ. O to panie historya! a!

KSIĄŻE. Poskrobałem się po łysinie, której wówczas jeszcze, panie kochanku, nie miałem... Co tu robić? nie ma rady — trzeba jechać — kulbacz Strzyżyuszkę...

SZCZUKA. (*ogląda się i wzdycha.*)

KSIĄŻE. (*do Szczuki*) Szczuka nie uważa! a ja cię będę egzaminu z tego słuchał!

Kulbaczą tedy Strzyżyuszkę... ty, kochany Wołodkowicz znałeś tę klacz cudowną — lepsza od kobyłki Mahometa. Bywało, panie, skoczy... dwa susy ze Słonima do Lidy, z Lidy do Wilna dwa susy, panie kochanku. Wziąłem z sobą nieboszczyka Parcewicza z tyłu w troki, żeby było komu buty wyczyścić... i w imię Boże, na noc do Smorgoń... Drugiego dnia byliśmy nad Bałtykiem, stąd okręt angielski zawiózł mnie mijając Maderę i Madagaskar do Egiptu...

WOŁODKOWICZ. M. Książe, alež geografia...

KSIĄŻE. Tylko mi daj pokój z geografią. Geografia jest dla studentów, ludzie dojrzali kpią z niej, panie kochanku... Trzeciego dnia wysiedliśmy na tej wyspie Egipskiej w państwie Aldebarana... a już byłem zawiadomiony, panie kochanku, że tam przystęp niełatwy. Ojciec miał ją na oku, bo była nieco płocha... Stało na straży trzynastu krokodylów, oswojonych i wyuczonych jak moje niedźwiedzie. Chodziły wszystkie na dwóch łapach, szarfy, u boku pistolety angielskie, panie kochanku, szpady, kapelusze stosowane i zegarki u pasa, żeby zawsze wiedziały godzinę; dawano im, panie kochanku, trzy razy na dzień po jednym tłustym bernardynie — panie kochanku. (*ogląda się*) Oj! Chwała Bogu, że Katembrynka nie ma... Cóżem chciał mówić? (*do Szczuki*) Co ty tam patrzysz ciągle na bramę, słuchaj!!

DYPLOWICZ. A! taka piękna historya, jak żyję nic podobnego nie słyszałem...

KSIĄŻE. Z tymi krokodylami, panie kochanku, nie było innego sposobu, tylko trzeba było grać w karty,— a kto przegrał, tego zjadły... tym sposobem skonsumowały kilkunastu zakochanych królewiczów i ze sześciu książąt... Każdy z krokodylów, panie kochanku, w co innego grał, najstarszy w maryasza, drugi w makao, trzeci w warcaby... Szczuka! co tobie jest... nie słuchasz?

SZCZUKA. Słucham, Mości Książe!

KSIĄŻE. Pamiętaj, że jutro wezmę na egzamin, panie kochanku. U drzwi siedział wąż brzuchaty, który tabakę zażywał i to tylko hiszpankę... dlatego miałem ciemierzycę w kieszeni, panie kochanku... Szczuka, co ci jest u licha?

SZCZUKA. Ale nic Mości Książe...

KSIĄŻE. Przypatrz że się jak Dyplowicz słucha, to na wzór, panie kochanku, gębę otworzył, aż mu wnętrzności przez nią widać... a wy... w głowach pusto! Nic rozumnego nie chcecie posłuchać, żeby się czegoś nauczyć, panie kochanku... Ej! Szczuka, ja wiem co się święci z tobą.

SZCZUKA. Mości Książe — ale nic — słucham...

KSIĄŻE. Tobie ta fertyczna Basia Kurcewiczówna wlazła pod pachę... Ty dla niej głowę tracisz, panie kochanku...

SZCZUKA. (*wzdychając*) Muszę o niej zapomnieć...

KSIĄŻE. Ja ciebie na wylot widzę — ty czekasz, panie kochanku, odpowiedzi z Siennej Wulki, od Kurcewicza, wiedząc, że wyprawiłem tam posłańca...

SZCZUKA. Co mnie do tego, proszę Księcia.

KSIĄŻE. A kto mnie na to głupstwo namówił, jeśli nie ty?

SZCZUKA. Ja? Czyż ja? Wasza książęca Mość nie uczyniłeś nic czegoby nie przystało uczynić Radziwiłłowi... Biedny szlachcic, ma także w rodzie książęcą krew...

DYPLOWICZ. Co za krew?...

SZCZUKA. Im uboższy tem mu dumę jego łacniej taki pan, jak Radziwiłł przebaczyć może. Łatwiej Księciu pofolgować, niż jemu. Na Księcia nie powie nikt, że się zląkł albo poniżył, a z niego by się wyśmiewano...

DYPLOWICZ. Nie mogę tego słuchać...

KSIĄŻE. Nie źle mówisz, tylko zawsze na swoje koło, panie kochanku, wodę prowadzisz.

SZCZUKA. Księciu przystało być wspaniałomyślnym i łaskawym...

KSIĄŻE. Ty też pochlebcą coś jesteś, panie kochanku... A no, tożeście mnie nabesztali, że po tej awanturze w karczmie, w której Radziwiłł ustąpił Kurcewiczowi, ja Wojewoda Wileński, posłałem go jeszcze na barszcz prosić do Nieświeża...

SZCZUKA. Toć po książęcemu, to po Radziwiłłowsku, to po pańsku.

DYPLOWICZ. Aż nadto Książe dobry, a na pochyłe drzewo... i kozy skaczą.

SZCZUKA. (*cicho do Dyplowicza*) Ja Jegomości to odsłużę.

DYPLOWICZ. (*wysuwa się w tył kłaniając*) Servus.

KSIĄŻE. Teraz ciekawym, panie kochanku, co szlachcic zrobi?

SZCZUKA. Przyjedzie i będzie spokój i zgoda.

DYPLOWICZ. (*nieśmiało*) Nie przyjedzie, ja go znam, jeszcze głupstwo powie...

KSIĄŻE. I mnie się też widzi, że nie przyjedzie... Widzisz Szczuko... dawniej kiedyśmy to hulali aż z czupryny kurzyło, póki nie wyłysiała, bywało i tak, żem zaprosiwszy kogo dał mu dwadzieścia pięć. Doktor Freind utrzymuje, że to nigdy nie szkodziło nikomu... ale ludzie, panie kochanku, tak zbabieli, że tego teraz nie lubią. Kurcewicz może co słyszał i boi się.

DYPLOWICZ. Jemuby i pięćdziesiąt nie szkodziło.

SZCZUKA. (*do Dyplowicza cicho*) Ja na waszeci sprobuję.

DYPLOWICZ. (*odsuwa się.*)

SZCZUKA. Mości Książe, on się tego nie zlęknie, bo mu i na myśl to nie przyjdzie. Książe słynie z gościnności i żalu do nikogo nie masz.

KSIĄŻE. Mam żal, panie kochanku...

SZCZUKA. Ale za cóż?

KSIĄŻE. Za co, panie kochanku, za to, że ma taką fanaberyę! W Litwie, panie kochanku, od Wilna i Słonima do Białego stoku i Brześcia oprócz Radziwiłłów fanaberyi takiej nikomu mieć nie wolno...

SZCZUKA. On się ułagodzi...

KSIĄŻE. Zobaczymy.

DYPLOWICZ. To jeż — to zgaga — to ocet ten człowiek!

SZCZUKA. Milcz waćpan... (*Dyplowicz znowu się usuwa — Szczuka ogląda się*) Otóż zdaje mi się idzie Żura... który do Siennej Wulki był posłany...

KSIĄŻE. Tak — to on sam — ale widzę już markotny czegoś...

Scena II.

CIŻ i ŻURA (*po podróżnemu ubrany*).

ŻURA. Czołem Waszej Książęcej Mości...

KSIĄŻE. A co tam dobrego przynosisz, panie kochanku?

ŻURA. (*który spojrzał na Szczukę*) Ot nic, Mości Książe... Szlachcica nie było w domu...

KSIĄŻE. Co? co? Kto? ty? nie zastałeś go? — Wiele lat jesteś u mnie na dworze?

ŻURA. Trzeci rok, z łaski Księcia...

KSIĄŻE. Ja myślałem, że dopiero drugi dzień, bo nie znasz służby, panie kochanku!

ŻURA. Jakto Mości Książe?

KSIĄŻE. Jak możesz ty powiedzieć mnie: nie zastałem, panie kochanku? Co to jest „nie zastałem?“ Gdzieżeś był? W Siennej Wulce?

ŻURA. Ale kiedy go tam nie było.

KSIĄŻE. Poproś że Marszałka, ażeby Ci wyliczył... coś wart... ażebyś, panie kochanku, wiedział co robić w takim razie, panie kochanku, kiedy Książe poseła do kogo... Jedziesz do Siennej Wulki, nie ma — dokąd pojechał? Do Słucka. Ty za nim... nie ma go, dokąd ruszył? Do Wilna — ty do Wilna, do Warszawy, do Stambułu, bogdaj na księżyc, panie kochanku... (*po chwili*) Ale to gorzej, panie kochanku, niż nie zastałem... bo ty łżesz... Żura, ja ci z oczów widzę, ciebie Szczuka łokciem trącił.

ŻURA. Ale... nie Mości Książe!

DYPLOWICZ. (*z tyłu, migając, że Żura kłamie.*)

KSIĄŻE. Tyś go zastał, panie kochanku... on tobie głupstwo powiedział, tyś je zjadł i nie śmiesz się niem ze mną podzielić, panie kochanku. A powinieneś wiedzieć, że posłów ani ścinają, ani wieszają... tylko czasem w Turcyi na hak za żebro, żeby przewietrzyć...

ŻURA. Ale Mości Książe...

KSIĄŻE. Mów do biesa, mów, nic ci nie będzie...

ŻURA. (*wahając się*) To bo taki człowiek...

KSIĄŻE. A no — utrapienie, mów jak było... nic nie zjadaj.

SZCZUKA. (*na ucho Żurze*) Zlituj się, nie jątrz Księcia!

KSIĄŻE. Szczuka... proszę nie szeptać... idź ty mi precz.

DYPLOWICZ. (*na migi objawia swą radość.*)

KSIĄŻE. Żura, mów całą prawdę, ja ją przełknę, gardło szerokie mam, żołądek dobry, strawię... a co potem z tego wyjdzie... zobaczymy, panie kochanku...

ŻURA. To Mości Książe... Szlachcic strasznie zacięty...

DYPLOWICZ. Nie mówiłem?

KSIĄŻE. No, no — odpowiedź przypieprzył — ale ja się do papryki przyzwyczaiłem na Węgrzech—mów...

ŻURA. Przybyłem do Siennej Wulki, do dworu.

KSIĄŻE. To chlew, panie kochanku, nie dwór...

ŻURA. Dworek ubogi, ale chędogi — szlachcic stał w ganku. Gdym konia do kółka przywiązał i submituję się, kazał zaraz miodu przynieść.

KSIĄŻE. Dobry miód ma, panie kochanku?

ŻURA. Nie zły, Mości Książe—nie dał przyjść do słowa, pij...

KSIĄŻE. Napiłeś się? panie kochanku...

ŻURA. Trochę musiałem, potem zaraz z poselstwem że Wasza Książęca Mość, pragnąc bliżej poznać sąsiada, prosisz go na barszczyk do Nieświeża...

KSIĄŻE. A on co na to? panie kochanku?

ŻURA. (*po chwili milczenia, cicho*) On na to — on na to...

KSIĄŻE. A no, gadaj!!

ŻURA. On na to — powiedz Waszmość Księciu Jegomości, że ja barszczu nigdy nie jadam...

KSIĄŻE. Widzisz! to czemużeś go na flaki nie prosił, panie kochanku?

ŻURA. Książe kazał na barszcz...

KSIĄŻE. Panie kochanku, ty nie masz konceptu... A dalej co? mów do ostatnich fusów.

ŻURA. Powiedział— kłaniaj się Księciu Jegomości i powiedz, że jeżeli w barszczu smakuje, niech tu do Siennej Wulki przyjedzie, dam takiego, aż mu się gęba wykrzywi...

KSIĄŻE. O dla Boga! a cóż dalej?

ŻURA. Powiedz, że ja w gościnie nie bywam, ale u siebie rad przyjmuję.

KSIĄŻE. (*wstaje i siada poruszony*) Szalona pałka! panie kochanku — on śmie Wojewodę Wileńskiego do siebie zapraszać — na barszczyk z rurą...

SZCZUKA. Mości Książe!

KSIĄŻE. Milcz że ty mi adwokacie nieproszony... Ja go nauczę, ja mu dam... tego już nadto, panie kochanku — Tu idzie o honor mojego domu!... Hej pana jenerała prosić.

SZCZUKA. (*rzuca się do Księcia z rękami złożonemi*) Mości Książe — bądź dla niego wspaniałym, bądź szlachetnym... Stary oszalał... ale Książe...

KSIĄŻE. Prosić pana jenerała...

SZCZUKA. (*klękając*) Mości Książe, zaklinam...

KSIĄŻE. Ty mi nie właź w drogę, panie kochanku, bo oberwiesz... panów senatorów moich! To tak mu nie ujdzie płazem...

SZCZUKA. Ale cóż za grzech, że na barszcz prosił?

DYPLOWICZ. To dopiero dobrze! lecę do Wulki... i tam czekam ewentów... Kurcewicz przepadł, a Wulka będzie moja! (*wymyka się*).

(*Słychać odgłos dzwonu. Zewsząd cisną się starsi ze dworu w mundurach Albeńskich, marszałek dworu, komendant zamku, pułkownicy, milicya.*)

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Echa nadwiślańskie Teofila Lenartowicza tom I. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego 1872. str. 286.

Smutne to zaiste lecz prawdziwe spostrzeżenie, że coraz rzadziej przychodzi nam się spotkać z utworami, o rzetelnej wartości poetycznej. Przebrzmiały serdeczne pienia, porywające urokiem szczerości i prostoty, a natomiast wylęgają się w obłudnych sercach pseudo-wieszczów płody nacechowane liryzmem sztucznym, obleczonym w szaty nienaturalnej pretensyonalności języka. Każdemu z nich wydaje się, że jego karty są wulkanem, a czytelnik widzi w tem tylko — parodyę wulkanów. Pozowanie zastąpiło tkliwość poetyczną, a dwa te motywa: s e r c e i o j c z y z n a, które wypiastowały romantyczną epokę naszej poezyi i zrodziły mistrzów, rodzą ciągle jeszcze ochotników, ale bez kapłańskiego namaszczenia tamtych... A tu wszystko zależy właśnie na tem namaszczeniu. Jeżeli się go nie ma, to nie trzeba pozować. Pozując zwraca się na siebie oczy w s z y s t k i c h—a „w s z y s c y" mają prawo żądać nowych pomysłów, świeżej wyobraźni, oryginalnej siły... Będąc skromnym, można przemycić w gronie przyjaciół wierszyk o starej formie i starej treści—ale przemawiając że Sinai, trzeba być koniecznie nowym... Toż prawdziwą ucztą dla miłośników poezyi, gdy sędziwy Pol pogwarzy jeszcze czasem o ziemi naszej lub grajek mazowiecki, Lenartowicz serdecznem odezwie się słowem.

Mamy właśnie przed sobą nowy tom poezyi Lenartowicza. Nie znajdzie tam czytelnik utworów uderzających wzniosłością pomysłów lub zalecających się sztuczną budową, ale natomiast piosenki jego tchną zawsze wdzięczną prostotą, jak ten lud, o którym śpiewa, ten lud, który stał się dla niego niewyczerpanem źródłem prawdziwego natchnienia.

„E c h a n a d w i ś l a ń s k i e" opiewają wypadki z czasów powstania r. 1863, a są jak gdyby dalszym ciągiem tegoż autora powszechnie znanych poezyi, osnutych na tle powstania Kościuszkowskiego. Żywo one nam przypominają dawniejsze jego utwory jak np. ustępy z poematu „Kościuszko," „Bitwa Racławicka" i t. p. Nie dziwimy się temu wcale, bo wszakże autor opiewa tu ten sam lud rozpaczą do boju popchnięty, te same kreśli pragnienia, tylko zamiast naczelnictwa Kościuszki innych widzimy żołnierzy i wodzów.

W pojedyńczych, zwięzłych ustępach opowiada autor dzieje przygotowań do wybuchu rewolucyjnego i same te krwawe zapasy, z czego powstaje poemat historyczny, pięknym i każdemu przystępnym językiem, bez goryczy a z prawdą opowiedziany. Parę wyjątków dać musimy, bo charakterystyka nasza nie zdoła zastąpić mowy samego poety... Jakże porywa za serce taki n. p. ustęp wiersza: „O f i a r y P o l k i."

Miałam śrebrne schowadełko,
W niem złote szydełko
I naparstek szczerozłoty
Przedziwnej roboty.

Kiedy przyszło dawać składki
Dla braci na życie,
Schowadełko ze szufladki
Wyciągnęłam skrycie.

I oddałam w ręce człeka,
Co te składki zbierał,
Brodę miał białości mleka,
Kijem się podpierał.

„Bóg ci zapłać gołąbeczko!“
Rzecze dziadek rzewnie,
A ja trzymam za słóweczko —
Bóg zapłaci pewnie!...

. . . .

Przyszła potem druga składka,
Znów dziadek w podwórko,
Zawołała na mnie matka:
„A ty co dasz córko?“

A ja dziewczę jasnowłose,
Moje perły niosę.
„Bóg ci zapłać gołąbeczko!“
Rzecze dziadek rzewnie
A ja trzymam za słóweczko, —
Bóg zapłaci pewnie.

. . . .

Marcin Lelewel Borelowski znalazł tu obok wielu innych także zaszczytną kartę wspomnienia; niemniej żołnierz-poeta, Mieczysław Romanowski, o którym autor wprawdzie kilku słowy tylko wspomina, ale słów tych nikt bez wzruszenia głębokiego odczytać nie może:

. . . .

Na Moskala z Lelewelem
Chodzili i wieszcze,
Grób jednego świeżem zielem
Nieporosły jeszcze.
Leży śpiewak pod sosenką,
Jak dziecię w kolebce,
A lirenka mu pod ręką
Złote dumy szepce.
Śpiewak leży w ziemi świeżej
Marząc dni swobody,
Bo tak wierzył, jak lud wierzy
Romanowski młody.
Szumi puszcza okoliczna,
Szumi gaj paproci,
Na grób spada łza żywiczna
I ślicznie się złoci.

. . . .

. . . .

Płakał po nim wódz poczciwy
Gdy nieśli do grobu,
Zapłakały polskie niwy,
Dziś ich płaczą obu...

Takim to językiem prześlicznym swoją prostotą opowiedziane dzieje ostatniego powstania stanowią pierwszą część tego zbioru.

W części drugiej pomieścił autor poezye „gminne i przygodne.“ Sam nagłówek już świadczy, że są to utwory treści rozleglejszej, czerpane z życia i podań ludu. Utwory jak: „Niewiasta i święte pielgrzymy,“ „Sen i drzémka,“ „Tęsknota,“ „Stary Józef skrzypkę stroi,“ „O jagodzie co chciała zostać jaskółką“ nie przestaną być nigdy najpiękniejszymi kwiatkami naszej poezyi ludowej. *S.*

PROMYKI.

Czy może być co starszego pod słońcem, jak walka ideału z prawdą? Czy jest jakie pole ludzkiej myśli, ludzkich wrażeń, gdzieby nie stykały się ze sobą te dwie siły?.., Odkąd pod ludzką czaszką zrodziła się pierwsza cała, samowiedna myśl, odtąd stworzony został po za światem rzeczywistym — drugi, mniej rozumny, ale więcej bogaty treścią — świat ideału. Pierwszy jest po za nami, drugi wewnątrz nas... W stosunku dwóch tych sił spoczywają zawiązki i wytłumaczenie wszystkich faktów życia jednostki i społeczeństwa—gdyby nie było wewnętrznego świata woli i pomysłów, nastąpiłaby i w świecie faktów próżnia, zastój. Bo wszystko, co jest dziś faktem, było w swojem poczęciu kiedyś marzeniem, ideałem, chociaż najczęściej zupełnie płaskim, zmysłowym... W tem znaczeniu nazywam ideałem n. p. i machinę parową przed James'em Wattem.

To wszystko znane. Powtórzyłem jednak raz jeszcze stare pewniki, ażeby wskazać, że ten idealizm jednostki jest czemś powszechnem i naturalnem i żeby od jednostki przenieść się zaraz do społeczeństwa, do narodu... Chodzi mi zaś o dowód na to, że wyłączny realizm zabija społeczeństwo, bo jest negacyą ludzkiej natury — a przecież natura ludzka jest starszą od każdego politycznego czy społecznego programu danej chwili. Dlatego to każdy program narodowy, nie uwzględniający jednej ze sił przyrodzonych człowieka, pomijający idealną stronę jego natury, jest połowicznym, co więcej, dla zdrowia ludu szkodliwym... Jeżeli ktoś marzy, ma nadzieję, ma ideał, będący dla niego bodźcem pracy, ten jeszcze nie jest, jak tam ktoś mówi, „obłąkanym.“ Kto wie nawet, czy on nie jest lepszym psychologiem od tego, który roztkliwia się, płacze sarkazmem i śmieje się łzami, każe mieć „miłość“ (jak p. Szujski) i „moc dobrego“ (jak p. Tarnowski), ale tej pracy organicznej na miłości i dobru opartej nie ukazuje widocznego kresu, oznaczonego celu— bo taki cel byłby już ideałem, a są ludzie, którzy zgoła nie lubią tego wyrazu i dla lingwistycznych antypatyi przekreślają jedyne — twórcze słowo! W skeptycyzmie ich nie ma miejsca na pierwiastek idealny. Są, wierzymy, charaktery wyjątkowe, znakomite, które się bez nich obejść mogą — ale cały tłum pozostanie zawsze tam zimny, gdzie nie uwzględniono wymagań jego natury...

A wszakże o co im chodzi? O pozyskanie adeptów dla swego wyznania... Jeżeli zaś tak — jeżeli doprawdy chcecie stronnictwu nadać siłę, jeżeli chcecie wsiąknąć ze swemi ideami w społeczeństwo, to dziś czy jutro, musicie koniecznie do swego programu przyjąć jeszcze jedno słowo, które (wyznaję to!) zmieni trochę zasadę samego programu, ale nada mu za to sympatyę powszechną i obudzi echo w duszy narodu... Naturalnie, że chodzi tu zawsze o to, czyli wam jest dogodne zejść z olimpijskich wyżyn swojej doktryny w mętny i chaotyczny tłum, który nazwano narodem, a który powinien czytać książki przez was pisane, jeżeli one są naprawdę dla niego pisane. A wierzyć trzeba że piszecie, dla narodu, że sprawy jego przyszłości nie zechcecie traktować *en famille* bez uwzględnienia stanowiska, na którem wielki ogół stoi... Jeżeli macie wiarę w swój program społeczno-narodowy, jeżeli uważacie go za jedynie zbawienny dla kraju, jeżeli pragniecie, aby kraj go przyjął i nim się przejął, musicie mówić tak, aby was on zrozumiał... A wtedy potrzeba ideału — bo jeżeli wy się bezeń obchodzicie, to jesteście naturami, jak powiedziałem, wyjątkowemi, którym wystarcza idea pracy bez jej ideału, ale które mało sobie mają podobnych.

Od stu lat wiele gorzkich przeżyliśmy doświadczeń, ale kto wie, czy inaczej żyjąc zostalibyśmy dziś jeszcze tem, czem jesteśmy? Pewne daty historyczne od r. 1768 do 1863 mniejby bez wątpienia miały zasmuconych krytyków, ale czy bylibyśmy bez nich tyle zachowali w sobie uczucia polskiego, ażebyśmy na przedstawieniu „Konfederatów“ Mickiewicza, jak p. Tarnowski, płakali?... Kto wie!.. możeby natenczas takie obrazy znalazły nas po stu latach już obojętnymi, jak pierwszy rozbiór kraju znalazł obojętną

na klęskę narodu—Galicyę?... Proszę pomyśleć, ile to się wysnuło z tego idealizmu narodowego żywiołów do życia, ile pocieszających motywów w chwili tak zupełnego upadku, ile natchnień odżywiających stroskane umysły.. Owe lata wyczerpywały nas — to prawda! — ale i wzmacniały zarazem. Widok to smętny, ale nie przytłaczający — żal dla pewnych sprawek przeszłości uzasadniony, ale i wdzięczność konieczna. Rok 1863 politycznie najsmutniejszy, ale nie tak zupełnie już podły, nie tak zupełnie odarty z wszelkiego poetycznego wdzięku, aby taki słodki i cichy marzyciel, jak Lenartowicz, potrzebował odbierać za to wyrzuty, że osnuł jedną lub drugą piosenkę na temat z tego roku...

Program owego stronnictwa (czytelnicy wiedzą, o którem mówimy!) jest doprawdy tak pięknym i żywotnym, praca niezmordowana około wzmożenia sił na każdem polu, w literaturze, sztuce, gospodarstwie — myślą tak praktyczną, że doprawdy żal zbiera, czemu ci, którzy ją wywiesili na swoim sztandarze nie dodali jeszcze wyrazu, któryby ich tak łatwo pogodził z wszystkimi szczerze pragnącymi dobra kraju. Że tym wyrazem jest wiara w przyszłość narodu, tego już każdy się domyśli. A tak to stronnictwo wyrzekło się dwóch cnót ewangelicznych, a pozostało tylko—przy miłości. Warto doprawdy kochać, jeżeli się wie dlaczego... Warto żyć, jeżeli się ma cel życia... Jeżeli nie—to nie... Gdyby zaś nie przekonanie, że cel jest, to trzebaby nam się chyba zastanowić już nad tem, czy należy pragnąć pozostania w tak połowicznych warunkach bytu, jak są nasze dzisiejsze, czy nie lepiej zrozpaczyć o wszystkiem i gdzieś tam się w czemś odrodzić, jak tego chciał hr. Leszek Borkowski?... A toż my właśnie mamy tę wiarę, że odrodzenie nastąpi — ale w nas samych — i że po za sobą nie mamy nic innego, w czembyśmy się odrodzić mogli... Wy macie mgły, a my słońce — i oto nasza siła, nasza cała różnica! Program zaś połączony z skeptycyzmem, usuwa sobie samemu grunt, wyrzeka się sam dobrowolnie powszechnego uznania — a szkoda, bo jest w nim wiele stron — że tu użyję wyrazu w tym obozie ulubionego — „dodatnich.“

Kto przejrzał ostatni zeszyt *Przeglądu* krakowskiego, odgadnie łatwo, że pod jego wrażeniem pisaliśmy te słowa... Kto zaś chce—niechaj w tem widzi nasz program.

* * *

Z kroniki artystycznej ostatniego i bieżącego tygodnia zanotować mi tu należy niepoślednie wzbogacenie repertoaru naszej sceny dwoma nie nowymi wprawdzie, ale dawno u nas nie widzianymi, a wielkiej ceny utworami. Mówię o „Ludwice de Lignerolles“ Ernesta Legouvè i „Rewizorze z Petersburga“ Gogola. Pierwszy dramat poety francuzkiego stojącego na przełomie dwóch kierunków poetycznych, na poły klasyka a na poły już romantyka, kreśli rysami wielkiej siły i wielkiego wdzięku martyrologię serca kobiecego. Jest to jedna z tych starych historyi, gdzie miłość żony spotyka się z miłostką męża, a której wynikiem bywa złamanie jasnej duszy; ale to wszystko nakreślone tak delikatnie, pomyślane tak głęboko a odczute tak poetycznie, że dramatowi p. Legouvè należałoby dać stałe miejsce w każdym poważnym repertoarze. Rola Ludwiki przedstawia zaś tyle subtelnych przejść, tyle wymaga dramatycznej siły i filozoficznego prawie przemyślenia, że pannie Rudkiewiczównej szczere należy się uznanie za jej grę sumienną, wszechstronnie opracowaną i tyle mieszczącą siły obok wdzięku i naturalności. Szkoda, że gra ta, owoc gruntownego i natchnionego studyum, przewinęła się przed naszem okiem tak osamotnioną — bo zresztą nie widzieliśmy ani u p. Leszczyńskiego (Alfred), ani u p. Królikowskiego (de Givry), ani u p. Linkowskiej (Kamila), usiłowań, ażeby odpowiedzieć warunkom powierzonych sobie ról.

Zupełnie tamtemu przeciwne czyni wrażenie komedya rosyjska Gogola „Rewizor z Petersburga“ którę ujrzeliśmy na benefis p. Linkowskiego we Środę (d. 21 b. m.) Sztuka ta, która w Rosyi zrobiła epokę, jest jaskrawem i wstrętnem do obrzydzenia (to prawda!) ale za to wiernem i jako takie mistrzowskiem malowidłem czynowniczego świata w Rosyi, tego świata bez rozumu, bez serca, po prostu bez instynktów ludzkich. O ile cierpi na tej wierności typowej zmysł moralny i estetyczny widza, o tyle zyskuje prawda — bo przesady w charakterystyce z pewnością nikt tu nie dostrzeże. Te wszystkie rysy są zdjęte ze społeczeństwa, tylko może fabuła sztuki, tło, na którem cyniczna podłość i głupota tych figur występuje, rażą nazbyt przesadną inwencyą i odejmują całemu obrazowi urok prawdy.

PP. Hubert (Chłopów), Natorski (Liapkin-Tiapkin), Dębicki (Iwan), a przedewszystkiem pani German (Horodniczanka), tworzyli grupę postaci dobrze i charakterystycznie oddanych. Pojmujemy, że podobne fotografie rzucone w oczy własnemu społeczeństwu muszą rodzić w nim cały szereg myśli — wstyd i gorycz pierwszego wrażenia łącząc z trzeźwem zastanowieniem i dążnością ku gruntownemu przeobrażeniu takich stosunków. Wiktor Sardou i Mikołaj Gogol malują wiek XIX — mój Boże! — wszakże to wiek najwyższej cywilizacyi... Ale nie kończmy wyrzutami... *Zet.*

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Haendel i Bach, Hayden i Mozart przedstawiają w rozwoju muzyki dwie epoki, poprzedzające wystąpienie Beethovena.

Opera w stylu starowłoskim i w tymże stylu Oratorya dostępują szczytu najwyższego artyzmu w utworach Haendla; u Bacha dostrzega się już orginalne cechy ducha niemieckiego i prawdziwie wzniosłą, kościelną powagę w oratoryach; Mozart wreszcie staje się twórcą opery niemieckiej, i udoskonala prawidła wszelkiej kompozycyi, prowadząc dzieło reformy poczęte świetnie przez Haydena.

Mimo to jednak nosi tamtoczasowa muzyka zawsze jeszcze bardzo wybitne piętno klasycyzmu. Trzymanie się małoduszne przyjętych od dawna prawideł, zamiłowanie kontrapunktu, bojaźliwość w tworzeniu nowych wyrażeń harmonicznych, nader umiarkowana instrumentacya, doskonalenie przeważne tylko form — oto znamiona pracy tych mistrzów, dążących do odrodzenia muzyki, ale w swych reformacyjnych zapędach jeszcze lękliwych. Jakkolwiek Hayden i Mozart coraz już śmielsze stawią kroki po drodze emancypacyi muzyki z krępujących ją więdzideł, pierwszy w Oratoryach i Symfoniach, drugi w operze, przecież stanowczy zwrot ku romantyzmowi poczyna się dopiero z Ludwikiem Beethovenem.

Beethoven z gry form, tworzy grę uczucia, wyrazu duszy, — grę jej ideałów. Zamknięty w sobie, kiedy głuchota uczyniła go martwym dla świata — sam z siebie wysnuwa szeregi motywów muzycznych, nie szukając ich

jak Hayden w naśladownictwie głosów natury, a jeżeli się czasem do tego środka ucieka jak np. w Symfonii pastoralnej — to nie naśladownictwo jest pobudką tego kroku, ale chęć żywszego oddania sceny sielankowej. Kierunek ten idealny musiał sprowadzić Beethovena na nowe zupełnie tory w użyciu formy i środków kompozycyi. To też wprowadza on genialne zmiany, bezprzykładnie śmiałe zwroty harmoniczne, niesłyszane dotąd dyssonanse i modulacye instrumentalne — a w dziewiątej Symfonii nie wystarczą mu już nawet używane dotychczas instrumenta, — ucieka się do głosów ludzkich i w olbrzymiem swoją potęgą: *„Seid umschlungen Ihr Millionen!"* zupełnie nowy otwiera świat muzyce.

W pierwotnych swoich dziełach nie jest Beethoven wolny od wpływów Mozarta, w późniejszych jednak staje się zupełnie samodzielnym i w użyciu instrumentów niedorównanym. Jako symfonik zajął w historyi muzyki najwyższe stanowisko, co jednak nie wyklucza mistrzowstwa w utworach kościelnych, kompozycyach zbiorowych, solach na fotepian i inne instrumenta, w pieśni i operze („Fidelio"), która jednak najmniej do jego przypadala ducha.

Nic dziwnego, że ze śmiercią Beethovena poczyna się muzyka chylić ku upadkowi. Jak już powiedziałem — Beethoven był romantykiem. A cóż łatwiejszego było dla jego epigonów jak dać się unieść fantazyi nieokiełznanej żadnemi prawidlami — i napisać wiele a nic nie stworzyć? cóż łatwiejszego jak zasłonić się Beethovenem, reformatorem sztuki i niedorzeczną excentrycznością obałamucać ludzi dobrej wiary? — Beethoven nie zapominał, że muzyka przedewszystkiem być powinna muzyką — czy dzisiejsi kompozytorowie chociażby najrozgłośniejszych imion, pamiętają zawsze o tem?..

Godnym następcą Beethovena w kierunku muzyki romantycznej był Schumann. Pchnięty w nieokreślone marzenia i krainę smutnych dumań już to melancholicznem usposobieniem swej duszy, już to dotkliwemi życia doświadczeniami, rzucił się Schumann z całym zapałem młodzieńczej fantazyi, z całą siłą męzkiej energii po świeżo wskazanych torach. Chęć gwałtowna kreślenia jasnych w muzyce obrazów zrodziła, jemu tylko właściwy typ — niezrównaną plastyczność... Z tej strony najłatwiej go poznać w utworach o szczupłej formie.

Posłuchajmy np. tego malutkiego poematu muzycznego *„Bittendes Kind"* w jego *„Kinderscenen..."* Zdaje ci się, że przechodząc słyszysz łzawe błaganie dziecięcia: ratunku! pomocy! zdaje ci się, że dziecię w krótkich urywanych słowach opowiada historyę swoich nieszczęść, a czując, że cię do litości pobudziło, ponawia swoją prośbę... Przeszedłeś obojętnie mimo dziecięcia — już tylko niedokończone słowo skargi doleciało uszów twoich i rozwiało się w powietrzu...

Taż sama plastyczność towarzyszy Schumannowi w pieśni i w utworach na większe rozmiary. Ona to w połączeniu z głębokiem uczuciem, niezmierne przytem bogactwo rytmów, używanie często formy arabeskowej i synkopy, głębokie przzejęcie się przedmiotem, wyraz pewien nieokreślonego cierpienia, Byronizm tonów — a obok tego ślady poważnych studyów muzyki klasycznej, — oto są charakterystyczne cechy Schumanna, w których nikt mu nie dorównał.

Że pieśń Heinego zwięzła formą, ciepła uczuciem, mistrzowska w doborze wyrazu, musiała natchnąć Schumanna do illustrowania jej muzyką, to leżało w jego naturze... Dlatego pieśń Schumanna wydaje się spotęgowaną tylko deklamacyą.

Po tych kilku uwagach, które nam się nasunęły, chcąc pomówić o ostatnich dwóch wieczorkach Tow. muz. przechodzę do sprawozdania.

Ósmy wieczorek (d. 1. bm.) rozpoczął się Sonatą (g — moll) Beethovena na fortepian i wiolonczelę op. 5, jednym z najwcześniejszych utworów jego.

Rozpoczyna tę sonatę powolne, majestatyczne A d a g i o o ponurych modulacyach, następuje lekkie i pełne ożywienia A l l e g r o, a kończy iskrzące humorem i w kilku różnych przemianach powtarzające pierwotny temat R o n d o.

Panna L. umiała szczęśliwie ująć wszystkie ze sobą sprzeczne wyrazy tej Sonaty od głęboko smętnego Adagia aż do rozigranego Ronda; wlewając w tony Adagia bardzo właściwy charakter poważnej zadumy, a nadając Rondu konieczną, swawolną powiedziałbym ruchliwość gry. Mniej dobrze wypadła część wiolenczelowa; nie dostrzegliśmy w grze p. Wolm. onej, tak niezbędnej rzutkości tonów, a czasem nawet nie dostrzegliśmy — czystej intonacyi... Mimo to całość wywołała bardzo dobre wrażenie i rzęsiste oklaski.

Schumanna pieśń *„Der Himmel hat eine Thräne geweint"* jest pierwszą z Cyklu pieśni Rücker a *(„Liebesfrühling")*, ułożonych częścią przez Schumanna, częścią przez jego żonę Klarę. Pieśń ta może jest najpiękniejszą w całym zbiorze. Z początku pełna łzawej poezyi i ponurej melancholii, dalej przy słowach:

„Die Muschel kam und schloss sie ein,
Du sollst nun meine Perle sein."

coraz pogodniejsza — choć coraz cichsza, po kilku zwrotach niepokoju czy obawy, powraca znowu do pierwotnego tematu i kończy kilkutaktową przygrywką na fortepianie, u Schumanna bardzo niezwykłą, a przez p. Mikulego nader poetycznie pojętą i wykonaną. Pan Stanisław Niedzielski w odśpiewaniu tej pieśni złożył dowody głębokiego poczucia artystycznego i zarazem technicznego wykształcenia.

Pomiędzy te dwie pieśni a monotonną „oracyę pana Marcina" z „Hrabiny" Moniuszki, nie wiem czyją zasługą zaplątał się w programie „Marsz weselny" Mendelssohna, przełożony na dwoje skrzypiec. Nieszczęśliwy to pomysł, dzieło, w którem nader ważną rolę grają dęte instrumenta przekładać na dwoje skrzypiec, nieszczęśliwszy jeszcze p o m y s ł umieszczać podobne transkrypcye na programach wieczorkowych, najnieszczęśliwszy jednak, grać ten marsz na niedostrojonych skrzypcach, z nieczystem chwytaniem akordów, z błędnem frazowaniem i w zwolnionem prawie do „A n d a n t e" tempie.

Wykonanie tego Marszu w tej formie miało jednak swoją zasługę, będąc zręcznem przejściem od pieśni Schumanna i najpiękniejszego ułamku Wagnerowskiego Tannhausera: *„O! du mein holder Abendstern,"* do monotonnego, poczwórnem powtarzaniem się nie zbyt zajmującego tematu „Oracyi p. Marcina" i nadprogramowej „Aryi" Donizettego.

Oracya p. Marcina — składa się z dwóch polonesowych motywów czterykroć się powtarzających za pośrednictwem bezbarwnego pasażu. Zaprawdę są u Moniuszki o wiele cenniejsze ustępy. Pragnęlibyśmy nieraz jeszcze usłyszyć p. Niedzielskiego, tylko nie z Moniuszką i Donizettim na ustach.

Na zakończenie wieczorku odegrali pp. Jar. i dyr. Mikuli koncert Schumanna na 4 waldhornie ułożony i przez samego autora na dwa fortepiany przepisany. W zasadzie już nie godzimy sie na taki sposób przekładów muzycznych, chociażby przez samych autorów podjętych i temu to może przypisać mi wypadnie niemiłe wrażenie, jakie odniosłem, słysząc utwor — Schumanna!

Dziewiąty wieczór (d. 15. b. m.) otworzył dyr. Mikuli Sonatą Beethovena na fortepian i skrzypce (p. Bruckman). Żywe jej Allegro i pełne gorącego uczucia Adagio, w stylu zbliżonym do Mozarta opracowane, wyprzedzają czysto Beethovenowskie Scherzo, przez niego do Sonaty na miejsce Menuetu wprowadzene. P. Mikuli był niezrównany w całej Sonacie, wszystkie pasaże Allegra spiewały, wszystkie tony mówiły, — w Adagio rozmarzony, niby wiosennej miłości nucił aryę, w swawolnem Scherzo pełen energii i siły, w Rondzie spiewny, w całości olśniewający gracyą i poetycznością wykonania. Szkoda, że p. Bruckmann, zużywający swój talent w orkiestrze teatralnej, nie mógł ani w pzybliżeniu dorównać mistrzowi grającemu na fortepianie, chociaż tym razem i on wykonał Adagio dosyć czysto.

Pan R. S. odegrał na harmanium Bacha Preludium i dwa ustępy z Schumana „Albumu dla młodzieży.“ I utwory prześliczne i wykonanie do najdrobniejszych szczegółów wypracowane. Od delikatnego pianissimo przez wszystkie fazy przechodził p. S. z niezwykłą lekkością do tonów grzmiących energią i przejmujących mrowiem, które po chwili gubiły się gdzieś we falach powietrza i powracały spokojnie aż do pierwotnych subtelnych drzeń, niby ostatnie echa odpływającej melodyi. Zdaje mi się, że i publiczność przyklaśnie mojemu zdaniu. Pięknego nigdy za wiele — i p. S. da się nam jeszcze posłyszeć na jakim wieczorku... Czy nie prawda?

Przed i po utworach na harmoninm spiewała pna. K. uczennica p. Wysockiego, naprzód z nim duet Spohra (z opery „Faust“), następnie aryę z „Żydówki“ Halevy'ego. Wiemy że trema, ta nieodstępna towarzyszka każdego dyletanta a częstokroć najznakomitszych nawet artystów, odbiera głos i władzę kierowania nim, dla tego wstrzymujemy się na teraz z wyrażeniem zdania o talencie panny K.; jedynie tylko pozwolimy sobie dodać uwagę, że na pierwszy występ nie należało jej spiewać aryi z „Żydówki“ trudnej i wymagającej obszernych rozmiarów głosu.

Na zakończenie pp. dyr. Mikuli i Wsz. odegrali waryacye *(Andante con Variazioni)* Mikulego. W waryacyach tych okazał p. M. jak prześliczne można stworzyć rzeczy z drobnego, w kilku zaledwie nutach zamykającego się tematu. Składają się one z Andante i kilku waryacyi poprzedzających dwa razy Adagio, opracowane na tymże samem, co Andante temacie. Andante to rozpoczyna się cichem, spokojnem następstwem kilku tonów, rośnie w siłę, za chwilę powracając znowu do spokojnej zadumy; część druga pokrewna tematem z pierwszą, ale od niej namiętniejsza, kończy również ukołysaniem się wezbranych uczuć. Pierwsza waryacya w części wiolinowej (p. Wsz.) spiewna, gorąca i drgająca głębokiem uczuciem; druga w części basowej (dyr. Mikuli) harmonizowana znowu odmiennie, charakteru rzekłbym więcej dzikiego, a mimo to melodyjna. Obie partye łączą się z sobą w „Adagio“ do nowych harmonii na tymże samym temacie. Podobnie i następujące waryacye coraz nowsze harmonią, coraz rozmaitsze rytmem i taktem, coraz żywsze odmianami tempa a zawsze spiewne, szlachetne i gorące. Pierwszy to utwor, jaki w tym rodzaju na polu Waryacyi poznałem. Jedność myśli wszędzie zachowana, a do tego niezmiernem bogactwem środków technicznych urozmaicona.

Prawdzic.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *La science des religions* par Emile Burnouf Paris. 1 vol. 1872.

LITERATURA i ESTETYKA. *Sztuka, zarys jej dziejów* podrecznik dla uczących się i przewodnik dla podróżnych, napisał dr. Józef Łepkowski, ze 101 drzeworytami. Naklad Wyd. dzieł tanich i pożyt. Kraków 1872.

— Świeżo wyszedł w Krakowie tom I. pisma zbiorowego „*Na dziś,*“ poświęconego literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu, handlowi i przemysłowi. Głównym kierownikiem pisma jest znany pod pseudonimem Jana ze Sliwina p. Kirkor, wydawca „*Teki wileńskiej*“ i „*Nowoje Wremia*“ (Nowy czas) w Petersburgu. „Na dziś“ zawiera: „Pamiętniki dr. Franka, prof. Uniw. wileńskiego, uzupełnione przez dr. Michała Homulickiego,“ z których obszerne podawał wyjątki „Przegląd Europejski“ I. J. Kraszewskiego, przed dziesięciu laty w Warszawie wydawany. „Naprzód,“ romans Fr. Spielhagena. Poezye Karola Brzozowskiego i J. Trzeciaka. „Hegel i Kremer“ rozprawa filozoficzna Br. F. Trentowskiego. „Dziewica Orleańska,“ studyum historyczne dr. Ksawerego Liskego. „Wyniki badań najnowszych o mistrzu Wincentym i jego kronice“ przez Augusta Bielowskiego. „Listy z podróży po Szląsku“ przez L. Malinowskiego. „O komunizmie i socyalizmie,“ odczyt dr. G. Roszkowskiego. Wreszcie działy bieżące, przeglądy, korespondencye itd. O celu i dążności pisma, jeszcze niepodobna wyrzec pewnego zdania, ale dziś już trudno się zgodzić na niektóre poglądy n. p. korespondenta z Warszawy

— Nakładem p. Karola Wilda, tak zasłużonego wydawcy dzieł popularnych i szkolnych, opuści prasę w połowie Marca książka zbiorowa: „*Wiązanka dla dzieci,*“ ułożona przez p. Wł. Belzę, z pomocą znanych piór pani L. Wilkońskiej, Wl. Ordona i innych. Dziełko to zawierać będzie wierszyki, powiastki, opowiadania z dziejów i geografii Polski i t. d.

HISTORYA. Księgarz J. Unger w Warszawie przygotowuje wydanie *prac historycznych J. Bartoszewicza.*

— *Gołos* donosi. że petersburgskie Towarzystwo historyczne zacznie *wydawnictwo papierów Katarzyny II* z archiwów rządowych. Opracowanie poruczono historykowi Piekarskiemu.

— Dr. Perlbach w Getyndze wydał monografię sławnego klasztoru Oliwskiego p. t.: *Die ältere Chronik von Oliva.*“

— Znany historyk niemiecki dr. Toeppen zaczął wydawać peryodycznie: „*Elbinger Antiquitäten.*“

NAUKI SPOŁECZNE. *La question ouvriere au XIX siecle* par Mr. P. Leroy-Beaulieu. Paris. Charpentier 1 vol. 1872. Z głęboką znajomością przedmiotu i zdrowymi poglądami omawia kwestyę zmów, stowarzyszeń rękodzielniczych, *Internationalu*, podając jedyny środek zaradzenia cierpieniom społecznym w tem samem, co Libelt nazwał „koalicyą kapitału i pracy.“

ODCZYTY. Jutro o godz. $12^{1}/_{2}$ będzie miał p. Zygmunt Sawczyński w sali ratuszowej odczyt: *O wychowaniu angielskiem*“ na dochód ubogich. — Prof. dr. Szujski rozpoczął d. 15. b. m. w Krakowie szereg odczytów p. t.: „*Historyczna wędrówka po Krakowie.*“ — Dr. Herman Beigel, uczony medyk i lingwista mial w Tow. antropologicznem we Wiedniu odczyt „*o przedhistorycznych grobach w Polsce.*“

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. *Dzierżawę teatru lwowskiego* na lat sześć otrzymała d. 19. b. m. spółka pp. Waleryana Podlewskiego, Jana Dobrzańskiego, Witalisa Smóchowskiego, hr. Augusta Łosia i dr. A. Miączyńskiego, która, jak wiadomo, związała się ze znakomitym artystą warszawskim p. *Janem Królikowskim*, powołując go do kierownictwa artystycznego sceną. Spółka ta przeleje swoje prawa na zawiązać się mające *Towarzystwo akcyjne przyjaciół sceny narodowej,* skoro takowe uzbiera fundusz zakładowy 20.000 złr. Teraz więc należy czekać wypadków.

— *Wieczór muzykalno-deklamacyjny p. St. Wardzyńskiego* z Warszawy odbył się w Sobotę d. 17. b. m. i pod względem artystycznym zaspokoil wszelkie oczekiwania. Już mieliśmy sposobność ocenić wyższy talent tego artysty; dodamy tylko, że wszystkie tegoż strony miały tu szerokie pole do popisu, który wypadł bardzo chlubnie. Na zakończenie odegrał p. W. monodram Wl. Ordona; „*Ostatnie chwile Dawizona,*“ mieszczący nader piękne ustępy, skreślone językiem ognistym i wielkiej siły poetycznej. Do urozmaicenia wieczoru niepoślednio przyczyniły się: panna S. prześlicznem wykonaniem „Rapsodyi“ Liszta (nr. 5.), zaś panna Z. odspiewaniem pełnem wdzięku i dobrze cieniowej gry dramatycznej „Romansu“ Beethovena i „Mazurka“ Chopina. (*Z.*)

— Józef Kaufman w Warszawie wydał pierwszy zeszyt „*Świata muzykalnego.*“

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronislaw Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.